

MAGAZYN KONFEKCJI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9 róg Rynku głównego

**poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek
strojnych i angielskich, Łoś strusich i rękawiczek.**

Sprzedawca materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

QUILLER COUCH.

SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacja z angielskiego.

3)

W pewnej odległości ku północy pochylały się one i łamały nagle, jakby przecięte olbrzymim to porcem przez jakiegoś olbrzyma. Wyodrębniał się tylko z pośród nich ogromny głaz, rodzaj skalnego obelisku, z którym łączyły się wązkim językiem, wznoszącym się na wysokość sześciu do siedmiu stóp ponad wody w stanie przypiły. Osamotniony ten obelisk zwał się „Skałą umarłego”, chociaż podobno przed wiekami nosił poetyczne miano „Skały trubadura”, które przez błędne wymawianie w narzeczu okolicznego ludu, zmieniło się na imionisko, wzbudzające strach i brzmiące smutnie.

Pod owym kamienistym językiem, który go łączył ze skalnymi ścianami, istniał naturalny tunel, którym, gdy wody odpłynęły, można było wyjść na długie wybrzeże Polkimbry, zakończone miasteczkiem, usadowionem wdzięcznie na jego najodleglejszym krańcu. Stanąwszy pod pierwszą arkadą owego skalnego kurytarza, widziało się ładną osadę, oprawną w ramy ciemno-zielonego marmuru, na purpurowym tle ścian nadržanych. „Skała umarłego”, podstawa swą tonęła zawsze w morzu, z wyjątkiem jedynie paru dni wczesnej wiosny w czasie wielkiego odpływu. Czarna była cała, jak noc; gdzieś tam tylko czerwienili się na niej krasne plamy, podobne do świeżo przelanej krwi. Nie bez trudności, ale można było dojść do jej nagiego szczytu, tu i owdzie tylko skąpo porośniętego niskim i marnym zielskiem. Ja sam nieraz wdierałem się na nią, aby z gniazd mew wybrać złożone w nich jaja.

Gdy dochodziłem do zatoki, rozjaśniać się zaczęło na wschodzie. Poranek, złocistą wstęgą słonecznego blasku, opromieniał błękit nieba nad ścianami skał od lądu, gdy tymczasem morze, ku któremu zwrócony byłem twarzą — pokryte dotąd blado żółtą barwą nikłego refleksu — podnosiło w górę swoje fale, jak pierś dziecka, wzdymająca się jeszcze od czasu do czasu tłumionym szlochem, po długotrwałym piaczu, wywołanym minioem już zmartwiecia. Z nisko opadniętych wód dał świeży wietrzyk. Zbliżałem się właśnie do cienia, jaki rzucała mi pod stopy „Skała umarłego” i stanąwszy u wejścia do tunelu, patrzyłem na wybrzeże, dosięgające w dali Polkimbry.

Nie widać na niem było żywej duszy. Długi pas piasku, obecnie zaledwie widoczny, zaczynał się już jednak oświetlać. O ile wzrokiem dosięgnąć mogłem, zdawał się pusty. Przeszedłszy tunel, wdrapałem się stroną południową skały na jeden z jej boków, żeby spojrzeć na morze, przypuszczałem bowiem, że jakś szczałek — może z rozbicia — wytłómaczy mi tajemnicę nocną. Nic nie dostrzegłem.

Nagle... tuż prawie u stóp moich, na odbijającej się od brzegu fali, ujrzałem... czapkę marynarza! Na jej widok o mało nie zemdlałem z przestachu. Prawie całą minutę nie śmiałem oczu otworzyć, aby powtórnie spojrzeć na nią. Tak, to była czapka!... Echo krzyku nocnego zabrzmiało znowu w moich uszach, budząc w sercu straszny niepokój, gdy patrzyłem na część odzieży ludzkiej, będącej milczącym dowodem czyjejś śmierci. Byłem dzieckiem, więc ze względu na mój wiek dziwić się nie można, że trząść się zacząłem całym ciałem, doznając przytem straszego zawrotu głowy.

Zamknąłem znowu oczy i drżący przytuliłem się do skały. Za żadne skarby świata nie zezedłbym na dół, aby dotknąć przedmiotu, wzbudzającego we mnie takie przerażenie, lecz gdy pierwszy spazm

strachu minął, cofnąłem się rozpaczliwym wysiłkiem w tył, jakby dusze wszystkich potopionych goniły za mną.

Po niejakiś czasie jednakże, odzyskałem przytomność i postanowiłem iść piaszczystym wybrzeżem aż do Polkimbry, a potem okrążywszy skały wrócić do domu.

Niby oczarowany, czy zahypnotyzowany, szedłem nie odrywając oczu od morza. Burza wyrzuciła na brzeg mnóstwo podwodnego zielska, które nagromadzone w kupki i kupy, pociągały również mój wzrok ku sobie, jak gdybym i w nich miał dostrzedz coś strasznego.

Już przeszedłem pół drogi, gdy nagle spojrzałem w stronę Polkimbry. Ujrzałem człowieka, idącego ku mnie brzegiem morza.

Gdy go dostrzegłem, oddalony był jeszcze o jakie dwieście metrów. Po wielkim strachu, który mnie prawie sił i przytomności pozbawił, ucieszyłem się bardzo na widok zbliżającego się człowieka. Pobiegłem naprzód żwawo, sądziłem bowiem, że to jeden z moich przyjaciół-rybaków z Polkimbry. Gdy jednak już do niego dochodziłem, nie zwracając na siebie uwagi, bo miękki piasek głużył odgłos moich kroków, zastanowiłem się chwilę. Zdziwiła mnie jego powierzchowność. Przedewszystkiem nie widziałem nigdy rybaka tak, jak on ubranego; następnie zdawał się przyglądać morzu z wielkim zajęciem i niepokojem, jak gdyby czegoś szukał w rozbijających się o wybrzeże bałwanach. Gdy się znalazłem nareszcie blisko niego, poznałem, że to był ktoś nie z naszych stron, słowem człowiek całkiem obcy.

Nie miał kapelusza na głowie, a odziany był w czerwoną koszulę i podarte spodnie, sięgające mu tylko do kolan. Szedł boso, a mokra odzież przylegała mu do ciała. Mógł mieć wzrostu najwyżej jakie pięć stóp i sześć cali, lecz szerokie jego barki i cała budowa — pomimo, że był bardzo zziębnięty i zmęczony — świadczyły o dobrym zdrowiu i niezwykłej mocy. Jednakże, pomierzwiome i mokre włosy spadały mu na twarz zowieścią. Najbardziej charakterystyczną zaś cechą jego postaci był wyraz jakiegoś nerwowego oczekiwania, malujący się nie tylko w oczach, lecz również odbijający się w każdym jego poruszeniu.

W innych niż ówczesne okolicznościach, starałbym się go uniknąć lub ominąć, lecz przestach sprawił, iż zupełnie straciłem głowę. W odległości jakichś dwudziestu metrów, nas rozdzielających, zatrzymałem się i zawołałem na niego, a gdy wołania mego nie usłyszał, postąpiłem znowu naprzód i nieco z ukosa, tak, że znalazłem się tuż prawie za jego plecami. Zawołałem nań powtórnie. Wtedy na dźwięk mego głosu zachnął się cały i zwrócił ku mnie z nie wytłómaczonem, a widocznem przerażeniem na zbliżających się licach. Dostrzegłszy jednak, że stoi przed nim tylko dziecko, obawa i wahanie znikły mu z oczu. Gdy do mnie przystępował, widziałem, że trzęsie się od zimna, a może i głodu.

— Co robisz, chłopcze, na wybrzeżu o tak wczesnej porze? — rzekł drżącym głosem.

— Och, panie! — odpowiedziałem — wczoraj wieczorem i dziś w nocy, tak gwałtowna i groźna huczała burza, że my... to jest mama i ja... usłyszeliśmy, o ile nam się zdaje... jakiś krzyk... a potem, och! widziałem...

— Co widziałeś?

To mówiąc, chwycił mnie za rękę i ścisnął ją mocno w swej dłoni.

— Czapkę... tylko czapkę, panie — odparłem także bardzo zmieszany — tylko czapkę. Wdrapałem się na Skałę umarłego... na skałę, którą pan widzi tam, na końcu wybrzeża... i zobaczyłem u jej podnóża czapkę. Myślałem...

— Chodź! i pokaż mi ją zaraz!

Biegł po piasku w kierunku skały, ciągnąc mnie za sobą.

Zatrzymał się nagle.

— Czy nie widziałeś nic więcej? — zapytał, stając przedemną i wpijając wzrok swój w moje oczy.

— Nic, panie.

— Ani nikogo innego?

— Nikogo nie widziałem.

— Czy pewny jesteś, że prócz mnie nie widziałeś nikogo innego? Czy nie spostrzegłeś przypadkiem wielkiego chłopca, o czarnych włosach, z kolczykami w uszach?

— Och, nie, panie!

— Czy przysięgniesz, że nie widziałeś takiego człowieka? No, przysięgnij! Powtarzaj za mną: „Przysiegam Bogu, że prócz pana, nie widziałem dziś nikogo innego na tem wybrzeżu“.

Przysięgłem.

— Mów jeszcze! — zawołał. — „Bodajem oślept, jeśli widziałem kogo innego“.

I tym razem powtórzyłem dosłownie, co mi powiedział rozkazał.

On zaś, objawiając otaczającą nas przestrzeń niepokojem spojrzeniem, popędził znowu ku skałom. Trzymałem się o ile mi tylko sił i cierpliwości starczyło, żeby nie upaść i nie krzyczeć z bólem, tak mocno mnie ścisnął. Żeby mu szczękały, a całe ciało się trzęsło; zmoczona na nim i podarta odzież fruwała w powietrzu, targana powiewem wietrzyka, dmącego od morza; na twarzy jego malowało się znużenie. Nie zwolnił jednak biegu, dopókiśmy nie stanęli pod Skałą umarłego. Obejrzał się znowu wokoło.

— Czy można tu gdzie się ukryć? — zapytał nagle.

Zdziwiło mnie to pytanie. Zachowanie się tego człowieka było tak dziwaczne, że powtórnie ogarnęła mnie straszna obawa. Całem sercem pragnąłem wyrwać mu się z rąk i uciec, lecz zdawało mi się, że chwila potemu nieodpowiednia. Więc przymusiłem się do spokojnej odpowiedzi:

— W zatoce Gotowych Pienędzy jest piękna grota. Przemysłowcy chronili się w niej nigdy, lecz...

Widocznie w oczach moich wyczytał zdziwienie, bo rzekł:

— No, to pokaż mi czapkę, którą widziałeś. Czy leży po tej stronie skały? Jakże skałę tę zowiesz? Skałą umarłego, co? Brzydka nazwa i brzydka skała — dodał, wstrząśnięty nagłym dreszczem.

Wdrapałem się na skałę, a on za mną. Doszliśmy wkrótce do miejsca, w którym stałem przedtem. Spojrzałem na dół. Czapka znajdowała się tam jeszcze, a nawet przypiły przybliżył ją nieco.

Towarzysz mój przyglądał się jej czas jakiś, poczem skoczył żwawo i pochwycił zreczenie.

Dla mnie była to zwykła czapka marynarska, lecz on badał ją pilnie i uważnie, ścisnął w dłoni a następnie potrząsnął w powietrzu, szepcząc coś do siebie po cichu. Sądziłem, że to musi być jego własna czapka, nie rozumiałem tylko, co z nią wyprawia. Po chwili wdrapał się na skałę i stanął przy mnie mruczając dalej pod nosem:

— Nie ulega wątpliwości, że to jego czapka, chociaż nic w niej niema... Przecież nie żyje, to rzecz pewna! Widziałem dobrze, że zginąć musiał, lecz to poniekąd jest zgonu jego dowodem. Niech będzie przeklęty! No, nie pozostaje mi nic, jak ją zabrać. Mniej po sobie pozostawił niż sądził, a pękłby niezawodnie ze złości. gdyby wiedział, że ja jestem jego sukcesorem! — Zwróciwszy się do mnie, rzekł głośno: — Siądź, mały, koło mnie... Spokojnie tu, chcę z tobą pomówić.

Wykusz skalny, na którym znajdowaliśmy się, mógł mieć siedm stóp długości, a trzy do czterech szerokości. Z jednej strony wila się przy nim ścieżka, po której dotarliśmy tu; drugim zaś brzegiem, ściętym w gładką, prostopadłą ścianę, nurzał się w morzu o jakie czterdzieści stóp poniżej nas. Nad nami sterczała niedostępna skała. U stóp naszych, niezbyt głęboko, widać było głaz, na którym — przynajmniej